

Ławeczka Józefa Barana (7)

(Przemysłnik z przełomu wieków)

Fragmenty wybrane przez autora z tomu
dzienników „Stan miłosny przerywany”; PIW 2021



Fot. Roman Mazurkiewicz

Architektura też nie może budzić entuzjazmu...

POCZTÓWKA Z TWERU (notatka)

wszędzie człowiek bywa sam
także wśród najbliższych
co dopiero
na obczyźnie
ale najmniej sam
byłem zawsze
wtedy gdy dzieliliśmy się
naszymi samotnościami
myślałem wólcząc się
po nadwożańskim mieście Twer
gdzie pośród odpadków i śmieci
szalały bzy i jaśminy
i ogniła się ognicha
a poeci z różnych krajów
próbowali ustanowić w słowach wspólnotę

na ulicy leżał i zipał
chyba najbardziej samotny człowiek Ziemi
rozpadał się na oczach przechodniów
tuląc do piersi jak ostatnią deskę ratunku
butelkę rozlanego wina

przeszyło mnie jego bezdenne cierpienie
niebem płynęły
ciemne chmury
zszedłem nad Wołgę
zapachniały bzy i jaśminy (...)

Podczas tego drugiego już pobytu w Rosji
przypominają mi się momenty z pierwszej po-
dróży z roku 1986. Co prawda wtedy zaczęła
się już pieriestrojka w Moskwie, gdzie rządził
Jelcyn, ale zakosztowałem wówczas jako
dziennikarz tygodnika „Wieści” sowieckich

zwyczajów i rytuałów, poczynawszy od tego, że
miałem przydzielonego „anioła stróża” w po-
staci Jury, który nie spuszczał mnie na krok z
oka Jura – ach co to to był za osobliwy anioł
stróż. Twierdził, że jest wierzący, podobnie
jak ja (skąd mieli o mnie takie informacje?),
chodzi co tydzień do cerkwi, modli się, et ce-
tera. Jego przekleństwem były kobiety, nie był
w stanie oprzeć się ich urokom i co wieczór
ciągnął mnie ze sobą na tańce w hotelach,
gdzie przemieszkiwaliśmy a pod koniec na-
szej eskapady stwierdził zmartwiony, że po
raz pierwszy wraca do domu i żony w stanie
bezzrzesznym...

Tamta pierwsza podróż obejmowała
trasę: Moskwa-Leningrad-Nowgorod (gdzie
większość stanowiły kobiety, bo mężczyźni
wyginęli na wojnie) – Wołogda (tu odwiedzi-
łem dom znakomitego poety, którego udusiła
własnymi rękami kochanka). Komuna, co
prawda w złagodzonej wersji, dała mi się we
znaki – przede wszystkim w Wołogdzie i No-
wgorodzie, gdzie miałem „kalendarzyk” wy-
pełniony co do minuty od rana do wieczora.
Od przedszkola do kołchozu, od rozmów z ar-
tystami (przez nich wydelegowanymi do ta-
kich spotkań) do rozmów z jakimiś „sekreta-
rami” czy stachanowcami. Wszędzie wyciąga-
łem swój kajecik i udawałem, że zapisuję ich
rewelacje tłumaczone przez Jurę, z których
mało co rozumiałem, choć robiłem bardzo
mądrą minę. A gdy chciałem się spotkać „poza
programem” z pisarzami interesującymi
mnie, między innymi z opozycyjnym wówczas
„dieriewieńszczykiem” Wasilijem Biełowem,
przerzymano mi niezaplanowane spotkanie
bezceremonialnie, twierdząc, że nie mogę sa-
mowolnie wprowadzać do mojego harmono-
gramu pozycji niezgodzonych. Dwukrotnie
zostałem wyproszonej z kawiarni i zawieziony
do hotelu, gdzie czekał na mnie Jura, tłuma-
cząc, że choć jest „pieriestrojka” i wszystko się
zmienia, nie zmieniło się jeszcze na tyle, bym
sobie mógł pozwolić na samowolkę.

Uderzyło mnie wtedy, że wszyscy,
wszystkich pouczali. „Nie lza, malcziki”. To
zdanie słyssało się w pociągu, na ulicy, w tea-
trze, na ziemi, w powietrzu i na niebie. Zrozumi-
iałem, że system sowiecki zasadza się wła-
śnie na tych dwóch słówkach „nie lzia!”. „Nie
lzia”, „nie lzia”, „nie lzia”... Wtedy pojąłem z
całą dobitnością, dlaczego nie cierpię „morra-
listów” wszelkiej maści.

A gdy przemykaliśmy pociągiem przez
ogromne przestrzenie kołchoźnianej Rosji,
utkwily mi w sercu i w oczach przepiękne
drewniane domy z z ozdobnymi oknami i gan-
kami, białe”bieriozy” i... błota, błota, błota... z
kołchoźnikami w gumiakach. Trochę osłabła
wtedy wtedy moja młodzieńcza miłość do po-
ezji rosyjskiej, Jesienina i Błoka, do pieśni Bu-
łata Okudźawy i Włodzimierza Wysockiego.
Rzeczywistość kołchoźniana przesłoniła
piękne poetyckie obrazy, a sowiecki dryl wy-
leczył mnie z jakichkolwiek wątpliwości na te-
mat idylli komunistycznej opiewanej przez
politruków, których zresztą nie cierpiałem,
szczególnie teraz, załatwiając na stojąco po-
trzeby fizjologiczne w niewygodnych radzieck-
kich wygodkach, gdy obok mnie inni zała-
twiali je podobnie jak ja, również na stojąco,

przegrodzeni tylko do połowy ściankami. Ta
sytuacja uświadomiła mi całą obłudę tego dia-
belskiego systemu w masce anioła...

2014

Nie ma dziś jednej prawdy, jak to drzewiej
bywało. Dziś prawda jest obrotowa. Wirująca
prawda a punktów jej widzenia i definiowania
dużo więcej niż kiedyś, gdy prawda miała
stałe punkty odniesienia w nieruchomym kra-
jobrazie (na przykład dla moich przodków w
Borzecinie). Moja mama, która nigdy nie wi-
działa morza, to, co wiedziała, to wiedziała
„naprawdę” i to była jej prawda niepodwa-
żalna (choć oczywiście też tylko do czasu, gdy
świat wdarł się do Borzecina i powyłamywał
drzwi i okna domów). Prawda z czasem sta-
wała się nawet dla zdezorientowanych mas –
płynna, zmienna, zależna od punktu odniesie-
nia, które też wciąż się zmieniają w związku
ruchami migracyjnymi, z błyskawicznym
przemieszczaniem się ludzi między innymi w
poszukiwaniu pracy z kraju do kraju, z konty-
nentu na kontynent z jednej strefy kulturowej,
klimatycznej w drugą – samolotami, autami,
pociągami... A także na skutek błyskawicz-
nych informacji, transmisji z całego świata i
bombardowaniu pojedynczego umysłu róż-
nymi, najczęściej przeciwstawnymi racjami,
poglądami, opiniami. Dziś prawda musi być
wygimnastykowana, mieć oczy dookoła
głowy i zmieniać się jak kameleon, żeby nada-
żać za tymi przeróżnymi punktami odniesie-
nia. Nie ma jednej prawdy, można najwyżej
uśrednić tzw. obiektywną prawdę spośród
wielu indywidualnych, subiektywnych
prawd. Stąd konserwatyści klną i lamentują,
że świat dziś stanął na głowie.

Nasze życie nie ma trwałych fundamen-
tów, tak naprawdę nie ma ziemi pod nogami,
nie ma pewników, rozwiązania, które gwa-
rantowałyby, że jest niepodważalne. Skła-
damy się z samych niewiadomych, poza tym z
tego, co jest oczywiste, co dotyczy doczesnych
problemów dnia codziennego, odtąd-dotąd.
Nasze życie jest właściwie tajemnicze i zawie-
szone w niewiadomych. Dlatego poezja ope-
rująca metaforą może dać lepszy wgląd w Ta-
jemnicę niż proza. Wiersz dzieje się jakby w
powietrzu, nie musi mieć trwałego zakotwi-
czenia w rzeczywistości, choć wynika z rzeczywistości,
nie musi stać nogami na ziemi, na fundamen-
tach, nie chodzi na piechotę, a raczej frunie,
przeskakuje albo raczej przefruwa z odle-
głego skojarzenia w odległe skojarzenie – jak
iskra, jak małpka kapucynka, jak ptak. Wiersz
może dziać się tu i wszędzie, i nigdzie równo-
cześnie. Odsyła naszą wyobraźnię, naszą
wrażliwość do czegoś, czego nie da się właści-
wie wyrazić słowami prozy, ale co jest ważne
jak nastrój, klimat, uczucie, tęsknota. Oczywiście
istnieje też poezja innego rodzaju, bliska
prozie, bliska aforyzmowi, dążąca jednak do
skrótów, definiująca, zamykająca definiowalną
przestrzeń, a nie otwierająca na Tajemnicę (w
poezji, na przykład polskiej, Bursa, Różewicz).
Bo oczywiście nie ma jednej recepty na poe-
zję.

cdn.